

Odlamek

Ciężkie chmury zasnuły szczyty gór. Wiatr huczał między drzewami i smagał wędrowca po twarzy.

Dzielnie opierał się burzy, wchodził po stoku między oblodzonymi głazami. Do ziemi przygniatał go niesiony na plecach kosz oraz trzy grube, wełniane płaszcze. Wspinając się po rumowisku kilka razy potykał się o niezauważone kamienie, ale w porę chwycił laskę. Wreszcie wyprostowany stanął przed ścianą zagajnika i odwrócił się.

Wiatr porywał spadający na ziemię śnieg i stworzył białą ścianę między górą a małą wioską w dolinie. Wędrowiec poprawił warstwy materiału szczelnie okrywając schowanego za pazuchą ptaka. Między drzewami wiatr już mu nie doskwierał, więc zsunął z głowy kaptur. Był on niskim mężczyzną w średnim wieku, czarnowłosym i naznaczonym bliznami. Przypominał pustelnika. Przyglądał się wyglądającym zza śnieżnej zasłony siostrzanym wzgórzom. Na stokach nie paliły się żadne światła – nastał już czas, w którym turyści nie śmieli zdobywać szczytów. Mężczyzna podrzucił laskę i złapał ją w połowie. Podtrzymał ptaka drugą ręką. Przeszedł przez zalegający na kamieniach śnieg. Minął niski murek. Na szczycie góry znajdowała się jego samotnia, porośnięty bluszczem szary domek. Odstawił laskę pod ścianą. Otworzył drzwi. Ściągnął kosz i pozostawił go w sieni.

Chatkę rozświetlało tylko jedno okno, na które opadał bluszcz, w słoneczne dni tworzący piękną mozaikę na blacie stołu. Ten stół to pozostałość po dawnym właścicielu, prawie w całości ginął pod książkami. Ściany składały się z pełnych zwojów pótek i dzienników poprzednika wędrowca.

Notes pustelnika leżał pusty od kilku miesięcy. Za każdym razem zapominał o nim i wołał dobrze się wyspać, niż pozostawiać komuś świadectwo swojego nudnego, jak myślał, życia. Zajmował miejsce na parapecie, za rzędem dwunastu ręcznie spisanych agranuickimi runami ksiąg.

Mężczyzna rzucił na kosz wszystkie płaszcze. Owinął kocem głowę spanikowanego ptaka. Usiadł przy lampie. Pogłaskał zwierzę po piórach szukając pękniętej kości w skrzydle. Wreszcie wyczuł ją, postarał się zapamiętać to miejsce i wstał. Wyjął kluczyk, otworzył gablotkę.

Różnego koloru buteleczki, szklane i drewniane pudełeczka oraz ceramiczne moździerz zabrzęczały, gdy wyjmował stojący za nimi flakon z zielonkawym płynem. Nasączył nim szmatkę i przyłożył do dzioba ptaka. Ptak przestał się szamotać. Pustelnik wspiął się na

piętro. Wśród rozrzuconych materiałów tworzących prowizoryczne łóżko znalazł kilka deseczek, które pozostały po jego ostatnim podopiecznym. W kieszeni miał mocny bandaż. Zszedł na dół.

Złożył skrzydło i unieruchomił deskami. Ścisnął kończynę opaskami, po czym owinął ptaka kawałkiem płótna. Mężczyzna podniósł śpiące zwierzę i usadowił je w koszu pełnym materiału. Wrócił do sieni, wypakował kilka tobołków z jedzeniem, które były opatrzone jego imieniem.

Ludzie w dolinach co tydzień przygotowywali paczki dla pustelników i nie wychodzili im na spotkanie, tylko pozostawiali je na oknach. Wędrowiec dostał aż cztery tobołki, co znaczyło, że nie będzie musiał schodzić do wsi przez dwa tygodnie. Z jednego wyjął zapałki, których użył do zapalenia najbliższej świecy. Przeszedł się po domu zapalając od niej kolejne. Przetarł okno i zobaczył jak na sąsiednim szczycie pojawia się światło. Burza zaczęła się uspokajać. Wiatr nie szarpał już wierzchołkami sosen, które przestały grozić zawaleniem się dachu.

Pomimo wielu lat spędzonych w pustelni, mężczyzna dalej bał się okrutnych górskich zamieci. Zawsze miał z tyłu głowy obrazy zniszczonych chat, które pogrzebały jego braci.

Myśli wracały z każdym wichrem. Nawet najdelikatniejszy podmuch, który ledwie zdołał przedrzeć się przez ubrania wstrząsał nim jak wtedy...

Prawie dwadzieścia lat temu nadmorską wieś pochłonął sztorm. Nic w tym dziwnego, w końcu potężne fale często nawiedzały tutejsze wybrzeża. Jednak podczas tamtej burzy woda przedarła się przez wszystkie zapory, a wiatr zrywał dachy, atakując nimi następne domy. Miał może trzynaście lat, gdy po burzy wygrzebał się spod ruin własnego domu, aby zobaczyć jak po gruzach chodzili oni – ubrani w czarne szaty białowłosi obywatele katakumb.

Z czasem przyzwyczał się do życia w ciemności i ciszy. Jak każda sierota miał przewodnika – był nim pewien pijaczyna, który ani śnił o wychowywaniu dziecka. Schodził do katakumb tak często, że młody pustelnik czuł się bardzo samotny. Wędrował po wielkiej nekropolii i szukał w niej swojej rodziny, ale zawsze, gdy czuł że może ją znaleźć, musiał wracać na ziemię.

Tamten dzień pamiętał jakby wydarzył się wczoraj. Czterech starszych braci wyprowadziło go na powierzchnię, gdzie oślepiło go wschodzące słońce. Kazano mu usiąść i obcięto mu włosy.

Był jedynym mieszkańcem Agranuity o czarnych włosach. Większość stroniła od niego jak od czarnego kota, ale był przyzwyczajony tylko do własnego towarzystwa. Zwykle przesiadywał w salach wykutych z kamienia czytając katafliską księgę.

Teraz leżała na pulpicie zamknięta przed światem. Bogato złocona okładka z czarnej skóry migotała wraz z płomieniami świec. Po niej wiły się cienkie jak włos łodygi bluszczu skupiające się na środku, gdzie tworzyły drobny wzór. Taki sam widniał na nadgarstku wędrowca. Siedmioramienna gwiazda otoczona bluszczowym wieńcem była symbolem katafili z Agranuity. Kiedy miał szesnaście lat, otrzymał ten tatuaż razem z podstawowym wyposażeniem. Miał go prowadzić, aż wróci do katakumb, by spocząć w jednej z krypt.

Pustelnik podniósł księgę. Odblokował zasuwkę i wyjął zamocowaną na rzemieniu sztabkę z zamka. Z pomocą zakładki odnalazł odpowiednią stronę. Kolejne arkusze pergaminu kąpały się w różnokolorowych atramentach. Ich marginesy były pokryte ilustracjami, symbolami opisującymi sceny zamknięte w wersetach. Całość dopełniało gotyckie pismo, gdzie niegdzie poprzetykane srebrzystymi liniami. Mężczyzna wziął do ręki grzechotkę towarzyszącą księdze na pulpicie. Usiadł pośrodku pokoju. Lekko potrząsnął instrumentem. Zaczął mamrotać słowa modlitw spisanych jeszcze w czasach, gdy na świecie istniało tylko agraniuckie pismo.

Nagle podczas recytacji usłyszał jak ptak miota się wśród koców. Pustelnik dokończył z pamięci ostatnie wersy. Podniósł zwierzę. Niezdarnie machało zdrowym skrzydłem i bardzo płytko oddychało. W jego oczach widział niezwykle przerażenie, które doskonale znał. Nieważne o jaką istotę chodziło, w obliczu śmierci wszystkie mają ten sam wyraz oczu.

„Nie dożyje rana.” – pomyślał gładząc zimne łapki ptaka.

- Chodź, posiedzisz trochę ze mną...- szepnął. – Nie bój się. Nie jesteś sam.

Mężczyzna przygarnął do siebie zwierzę, wziął do ręki księgę i ostrożnie wspiął się na piętro. Zwierzątko poczuło się jakby bardziej bezpieczne, przestało się już rzucać. Pustelnik delikatnie głaskał jego długi dziób dodając mu otuchy. W końcu sam przysnął, opierając głowę na ścianie.

Zbudził go dopiero trzask otwieranych drzwi. Pustelnik nagle skoczył na równe nogi, prawie uderzając głową o dach. Na dole okazało się, że dobijała się do niego pomieszkująca w sieni koza. Chciała śniadania i wydojenia. Mężczyzna podrapał staruszkę pod brodą i wyjął z kosza trochę chleba. Dorzucił go do siana, po czym usiadł na klepisku. Kózka podeszła do niego. W końcu doczekała się spóźnialskiego. Słońce już świeciło na niebie, co zaniepokoiło pustelnika. Musiał spać naprawdę długo. Wrócił do środka i postawił na stole czarękę pełną mleka.

Prawie schylił się po miskę. Kiedy jeszcze zaznajamiał się z górami, przygarnął czarną kotkę. Zawsze dostawała rozwodnione mleko, nawet gdy była już dorosła. Często spała na stertach książek, które wtedy zamiast grzecznie stać na półkach, zajmowały cały parter. Miała na imię Luna.

Dzisiaj kotka towarzyszyła mu siedząc pośród celowo ułożonych poziomo książek o historii dwóch światów. Lubiła na nich leżeć, jakby chciała ochronić tradycje gór przed zapomnieniem. Teraz pozostała po niej mała czaszka, która dalej strzegła tajemnic przeszłości.

Mężczyzna powoli dotknął zawiniętego w jego szaty ptaka. Zwierzę nie ruszało się, ale żyło. Małe szkliste oczka nie prosiły już o ratowanie, tylko o skrócenie cierpienia. Katafil westchnął. Otworzył księgę na ostatnim rozdziale. Pominął ostrzeżenia starożytnych i znalazł odpowiednią stronę. Zatarł dłonie gotów do pracy.

Odkąd pamiętał, pomimo lat studiów nie był dobrym nekromantą, ale nawet swoją szczątkową wiedzę mógł teraz pomóc. Jego nauczyciele zawsze mówili mu, że nie powinno się marnować mocy na wskrzeszenie istot innych od człowieka.

On zaś nie słuchał, ratował życia wdzięcznym stworzeniom, które potem go nie opuszczały. Przypatrzył się ptakowi. Zostawił go na chwilę. Oplukał dłonie i przypomniał sobie wszystkie inkantacje. Zaczął czuć mrowienie w palcach, kiedy podchodził do ptaszka. Strzepnął to uczucie z jednej dłoni, którą podniósł zwierzę. Dwoma palcami otoczył jego klatkę piersiową. Lekko ścisnął. Nagle poczuł jak energia go odrzuca i wypala mu stawy w dłoniach.

Pustelnik rzucił się z krzykiem do miski. W zimnej wodzie ból ustąpił. Był za słaby, żeby pomóc. Musiałby mieć okruchy innych dusz, żeby wykupić sobie duszę ptaka.

Zrezygnowany sięgnął po ostateczność. Wyjął z metalowego pudełka długi, cienki jak igła sztylet. Obracając go w palcach ukłuł się pod paznokciem. Nigdy nie chciał odbierać życia, nawet pustoszącym jego ogród robakom. Niestety czasami był to jedyny sposób na uśmierzenie bólu. Przetarł srebrzyste ostrze, na którym drobne runy przypominały o najważniejszej zasadzie katafilów.

- Nie zadawaj cierpienia i na nie nie pozwalaj. – przeczytał czerwone znaki.

Ujął zwierzę w obie ręce. Próbował uspokoić ptaszka, a przy tym siebie. Wreszcie wziął w lewą dłoń nożyk. Mocniej zacisnął palce na rękojeści. Nagle obraz przed jego oczami się rozmył, a pod ostrzem poczuł skórę.

- Przepraszam... - szepnął odwracając wzrok. Jednym ruchem przebił mu serce.

Nie patrzył na nóż, gdy go obmywał. Tak samo nie spuszczał wzroku na zawijanego w płótno ptaka.

Po domu fruwał kurz rozogniony przez promienie słońca. Spokojnie opadał na podłogę jak śnieg na leśne runo. Wtem nikły podmuch rozrzucił paprochy, które zawirowały w świetle. Opadły na zawiniątko związane sznurkiem. Starał się nie zwracać uwagi na rosnącą szkarłatną plamę. Wyszedł z domu razem z łopatą. Zakopał tobolek przy furtce i nakrył go kamieniem. Usiadł obok wpatrując się w nóż. Poczuł jak żal ścisnął mu gardło, a sam staje się jeszcze mniejszy. Skulił się pod murkiem i gorzko zaszlochał.

Obudził się strasznie wyziębiony. Cienkie szaty przemokły, a w miejscu łez pojawiły się wilgotne, czerwone plamy. Otrząsnął się ze śniegu. Po omacku dotarł do domu i zapalił nowe świece.

Odłożył księgę na pulpit. W zaciśniętej pięści chował ostrze. Gdy rozluźnił uchwyt, zobaczył na dłoni grubą, czerwoną kreskę. Mocno owinał rękę bandażem. Znowu poczuł, jak oddech grzęźnie mu w gardle. Zaciśnął zęby na knykciach próbując się uspokoić.

- „Zabiłem, zabiłem, zabiłem...” – słowa te biły w jego głowie jak dzwon.

- „Zabiłeś, aby skończyć cierpienie.” – przerwał mu obcy głos. Był niezwykle podobny do głosu mandolinarza, gdy czasem go odwiedzał. Pustelnik zamknął oczy i wsłuchał się w otaczające go dźwięki.

Zza drzwi dochodził do niego stukot kozich racic, okna smagał wiatr, a ogień trzaskał pod garnuszkiem wody. Wreszcie zdecydował się odjąć dłonie od oczu. Patrzył na swoje poranione palce zakończone połamanymi paznokciami.

- Dlaczego jestem taki słaby? – szepnął. Czuł kolejną falę łez na horyzoncie. Wstał i wyjął z gablotki brązową flaszkę. Wiedział, że alkohol miał być tylko na rany.

Po zaledwie kilku kieliszkach zwałił się na stół. Zdawało mu się, że słyszał śmiech starego opiekuna.

- Ale ty masz miękką głowę... - mówił, odbierając mu butelkę.

Nagle coś wyrwało go ze snu. Koza domagała się znowu jedzenia, ale kopała drzwi tak jakby chciała je wyważyć. Pustelnik spojrzął na butelkę. Alkoholu ubyło znacznie więcej niż mieściło się w czarce. Coś waliło o drzwi jeszcze mocniej i nabrał pewności, że to nie była koza. Zwlókł się z krzesła i doszedł do sieni.

- Czego?! – wrzasnął, otwierając drzwi.

Cesarski wysłannik, białowłosy młodzieniec w błękitnym płaszczu, patrzył z góry na katafila. Wręczył mu zwój prosto z gabinetu cesarzowej.

- Jesteś wezwany do zwalczania epidemii – rzekł.

- Nie jestem lekarzem, tylko nekromantą. Nie przydam się wam.

-Potrzebujemy nekromantów. Agranuita ucierpiała i większość medyków zmarła. Jeśli szanujesz wolę cesarzowej Gai, idź za mną.

Po tych słowach zawrócił i przeszedł przez ogród.

Mężczyzna szybko spakował do torby swoje rzeczy. Pogłaskał czaszkę kotki, podrapał kożę za uchem. Założył najgrubszy płaszcz i ruszył za schodzącym strażnikiem. Pierwszy raz od zamieszkania w górach mógł spotkać się z braćmi. Nie wiedział nic o epidemii, ale jeśli sama cesarzowa potrzebowała już pustelników musiała ona zebrać straszne żniwo.

- Mówiłeś, że potrzebujecie nekromantów. Mogę wiedzieć po co? – spytał, gdy dogonił żołnierza.

- Dowiesz się na miejscu – syknął gwardzista, nawet nie odwracając głowy. Zatrzymali się dopiero w nocy. Pustelnik rozpalil ogień i obserwował grzejącego się pod jego płaszczem strażnika.

- Kiedy wyruszyłeś? – spytał, próbując być miłym.

- Trzy dni temu – odpowiedział tamten patrząc chciwie na wełniane szaty katafila.

- Szybko się tu dostałeś.

- Miałem iqrina. Wczoraj ta durna szkapa wlaźła w sidła pod wsią.

- Więc dlaczego jesteś tu tak szybko? Zostawiłeś ją rolnikom?

- Nie. Poderżnąłem kobyle gardło.

Nagle pustelnik zacisnął dłonie. Przez jego głowę przeleciał tabun myśli.

Strażnik zaś mówił dalej:

- Bydlę nie mogło nawet iść prosto. Cholera nie pozwoliła mi nawet przysnąć.

Pustelnik wziął kilka głębokich wdechów. Powstrzymywał się od ataku na swojego rozmówcę.

- Iqriny nie mają nad sobą kontroli. Muszą być kierowane, bo nie widzą i nie słyszą.

- Zamknij się dziadku. Gównu mnie to obchodzi. Takich bezmózgich zwierząt nie powinno być w służbie.

- I dlatego zabiłeś to piękne istnienie?

- Pierdol się. To mój iqirin i mogę zrobić z nim co chcę. A tobie nic do tego.

Strażnik zniknął gdzieś pomiędzy drzewami. Koczownicy zamieszkujący dawniej lodowe stopy otaczające polis traktowali te olbrzymie, rogate konie jak boski dar. Gdy wierzchowiec ginął z czyjejs winy, sprawca był publicznie torturowany tygodniami, aż zawisał nad bramą osady.

- „Zasłużył na to samo. Potwór.” – przemknęło przez głowę pustelnika.

Nagle wstał i zgasił ogień. Schował do torby list, zostawił płaszcz, na który służbista był tak łasy. Wrócił na ścieżkę. Znalazł drogę do miasta i zaczął uciekać, aby nie mieć nic wspólnego z tym okrutnikiem. Inaczej mógłby zrobić mu krzywdę.

Nareszcie zarysowało się przed nim miasto. Stał na klifie zmęczony i wyziębiony. Ostrożnie zszedł po rumowisku. Na dole rozciągał się pas bieli. Taki sam widział po katastrofie. Już w połowie drogi czuł smród gnijących ciał podmywanych przez fale. Po dróżce szli katafile z noszami. Zatrzymali się przed przybyszem bacznie się mu przyglądając. W końcu jeden z nich zdjął płaszcz z niesionego ciała.

- Masz – odparł jeden, rzucając mu okrycie. Ten odmówił i chciał je zwrócić, ale katafil go wyprzedził.

- Jemu się nie nada, a ty do wieczora zamarzniesz. Chyba nie po to tu przyszedłeś. Mężczyzna wziął się do roboty, a pustelnik wreszcie podniósł płaszcz. Przeszedł po kładce do miasta i pokazał list odźwiernemu. Po chwili przecisnął się przez bramę.

Agranuita opustoszała. Kanałami spływały śmieci i szczątki, które wydostały się z katakumb. Pod domami klęczeli chorzy... Obląkane, zielonoskóre wraki ludzi. Wędrowiec założył kaptur. Widział tylko środek ulicy zajęty przez szczury. W katakumbach dużo uczył się o chorobach. Miasto dziesiątkowała koczownicza gorączka, którą można było jeszcze wyleczyć. Dlaczego więc nie krzatali się tu lekarze, tylko popiecznicy śmierci?

W drodze do pałacu nie zauważył żadnego medyka. Tylko katafile wrywali martwe dzieci z objęć matek. Pustelnik słyszał ich płacz. Przyspieszył kroku. Czuł jakby sama śmierć szarpała go za kaptur. Wskazywała kościstym palcem na swoje dzieło. Wytykała, że ci ludzie nie mogą osiągnąć swoich celów, bo przyszła ona.

Ostatnie metry do pałacu przebiegł. Bogate wnętrze niemalże kpiło sobie z pogrążonego w nędzy miasta. Lokaj do niego nie podszedł, mierzył go zaś wzrokiem jak prowadzonego na śmierć zbrodniarza. Nekromanta po chwili dotarł do sali tronowej. Pośrodku stało krzesło odgradzone od reszty parawanem.

- Nazwisko? – usłyszał zza ściany. Podał dołem list.

- Masz trzy dni na ożywienie naszego lekarza – usłyszał znowu.

- A jeśli się nie wyrobię?

Pustelnik nie otrzymał odpowiedzi. Pod jego stopami leżało czarne zawiniątko. Podniósł je i minął się w drzwiach z innym wezwanym bratem. Woreczek był ciężki i dziwnie ciepły. Usiadł na schodach jednego z porzuconych domów. Rozwiązał sznurek, odwinął materiał.

Na jego dłoniach spoczęła kryształowa kula. Kotłowały się w niej kolorowe błyskawice, pozostawiające po sobie dym na ściankach. Czuł jak chciały się wydostać, słyszał ich krzyki.

Dziesięć kolorów. Dziesięć zaklętych dla lekarza dusz. Katafil wsłuchał się w ich głosy : lamentsy żebraczek, płacz dziecka i cichy śpiew przy rozstrojonej mandolinie...

Oderwał wzrok od kuli. Gdy muzyka przycichła, ona wypełniła się zieloną mgłą i zamieniła w kamień. Pustelnik zapomniał o Agranuicie. Słuchał historii dusz, wszystkich ich wspomnień z tego świata.

Wiatr zawiął mocniej, a odór miasta wyrwał go z zadumy. Miał porzucić te piękne dusze, aby uratować człowieka, który mógł pomóc umierającym. Błyskawice kotłowały się w kryształach jeszcze bardziej. Czuły jego niepokój.

Pod kulą leżała mała kartka papieru. Zapisano na niej adres i nazwisko lekarza.

- Ferazzo... - przeczytał. Kula zaczęła parzyć go w ręce. Wydawało mu się, że skądś zna to nazwisko. Poprawił kaptur i wstał. Skręcił w boczną alejkę.

Sprawdził adres. Wszystko wskazywało na to, że jest na miejscu. Uchylił drzwi i zapalił świecę. Czuł wspomnienia ścian – musiały słyszeć dużo krzyków. Okna były wybite, nosiły znamiona bójek. Nekromanta wspiął się na piętro. Jeden pokój był otwarty. Wszedł do środka, gdzie na stole leżało okryte całunem ciało. Katafil założył rękawice, podszedł do stołu i zsunął prześcieradło...

Nagle poczuł gorąc odłamka. Leżała przed nim znajoma twarz.

Ferazzo. Diabeł w kitlu. Rozpoznał białe bokobrody i jedno szklane, otwarte dalekie oko.

Nagle wszystko wokół stało się białe. Katafil siedział skulony na pryczy, ubrany tylko w dziurawy worek. Do klitki wszedł doktor. Obdarzył go fałszywym uśmiechem, który szybko znikł. Po drodze splunął do miski z kaszą. Górował nad dzieckiem ze szklaną strzykawką w ręce.

- Pogańskie ścierwo...- mruknął, a wtedy nagle wszystko się rozmyło. Głowa katafila paliła się od bólu.

Otworzył oczy. Leżał pod ścianą w opuszczonym domu. Wszystkie blizny bolały go, jakby były dalej posypanymi solą ranami za nieposłuszeństwo.

Trafił mu się potwór w ludzkim ciele. Z jednej strony był poważnym lekarzem na dworze cesarzowej, ale ukrywał przed światem mroczną tajemnicę...

Od lat Ferazzo szukał resztek koczowników, którzy nie trafili do świata ludzi, aby ich badać. Byli podobniejsi do mieszkańców drugiego świata, których ostatki chciał wytępić. Przez jego wymysły każde czarnowłose dziecko było skazane na mękę. Wystarczyło tylko opuścić dom po zachodzie słońca. Chłopiec, który teraz powoli siwiał, mógłby zostać zamordowany, gdyby nie Alex.

Alex Cavalezza... Szelma w cesarskiej gwardii. Do końca życia musiał odpracowywać zadane skarbcu miasta szkody. Pustelnik pamiętał chłopaka z perłą w uchu. Był przyjacielem mandoliniarza i tak jak on oznaczał swoje szaty inicjałami. Katafil przyjrzał się płaszczowi. W rogu widniały niezdarnie wyszyte litery A i C.

A więc Alex nie żyje, ale nawet po śmierci chciał mu pomóc. Pustelnik wstał. Dusze niepokoiły się. Nie mógł ożywić potwora, lecz musiał pozbyć się odłamka. Miał jeszcze kilka dni na wypuszczenie ich, nie mógł jednak zostać z nim przyłapany. Nie minąłby wtedy stryczka.

Nie mógł jednak pozwolić, żeby Ferazzo zabrał się do niedokończonego projektu, co było pewne jak śmierć na końcu drogi.

Wszedł z domu. Musiał najpierw znaleźć ciała. Mandolinarz zmarł przed epidemią, więc musiał leżeć w katakumbach. Skierował się na wschód. Już z daleka widział kręte dróżki. Szedł nimi na oślep, aż zatrzymał go niski mur. Wokół grobów krążyło kilku młodych katafili z przewodnikami. Tak właśnie uczyli się historii – odwiedzali kolejnych ludzi, o których krążyły miejskie legendy.

Pośrodku cmentarza stała marmurowa kapliczka, w której znajdowało się wejście do katakumb. Chodząc między grobami pustelnik czuł się jakby wracał do domu. Mijał braci i chowające się za nimi dzieci.

Alex zawsze zamiatał groby. Kiedyś chciał go przygarnąć, ale uprzedził go mandolinarz. Wtedy może brunecik nie byłby taki samotny. Wspiął się po schodach. Odłamek trochę się ochłodził. Małe drzwiczki były otwarte. Gdy stał już na pierwszym schodku poczuł mocne uderzenie w plecy.

- Grin, gdzie idziesz? Chcesz zostawić te dzieciaki? – inny katafil odciągnął go od wejścia.

- N-nie nazywam się Grin... - mruknął. Tamten nie usłyszał. W końcu pustelnik wyrwał mu się i powtórzył:

- Nie jestem Grin.

Opiekun go przeprosił i po chwili się oddalił. Nekromancie zdawało się, że słyszy szept katafila.

- Gdzie jest moja Grin... - powtarzał. Zanim pustelnik wszedł do katakumb, odwrócił się. Chłopak, który go zaczepił, siedział skulony między grobami. Do jego uszu dotarł rozdzierający krzyk i stłumiony przez maskę szloch.

„Pewnie Grin nie żyje” – pomyślał. Nagle wspiął się znowu na posadzkę kaplicy. Zaczął przyglądać się zza kolumny rozpaczającemu człowiekowi.

„Ciekawe... Niby śmierć otacza nas ze wszystkich stron, ba, nawet nieraz musimy chować setki ludzi dziennie, ale gdy tracimy kogoś bliskiego czujemy się, jakby ktoś odebrał nam nasze własne pół życia. Cały świat wali się nam na głowę a my musimy się wygrzebać z jego ruin. Wielkie tysiące nie robią na nas wrażenia – w końcu widzimy je na co dzień w katakumbach. Jednak wystarczy strata czegoś bliskiego, ot, małego ptaszka, któremu chciało się pomóc, aby nasz świat się załamał.” – myślał. Wreszcie podniósł wzrok i zauważył, że wszystkie dzieci obległy katafila. Potem wśród gromadki dzieci pojawił się ich opiekun. Coś mówił drugiemu dorosłemu, trzymając go za rękę. W końcu oddalili się, pewnie aby poszukać jego Grin.

Ocknął się, gdy gromadka sierot zniknęła za wielkimi rodzinnymi grobowcami, które przez lata tworzyły mur odgradzający najbogatszych mieszczan od prostych, ale zasłużonych ludzi. Jak widać podział społeczeństwa musiał być zaznaczony, chociaż nikt nie bierze pieniędzy do grobu.

Nagle usłyszał za sobą kroki. Po schodach wspinało się dziecko, prowadzone za rączkę przez opiekuna. Miało na oko ze cztery latka. W rączkach obracało zawieszony na sznurku złoty pierścionek.

-Rue, co ja mówiłem o pamiątkach? – opiekun przystanął. Pustelnik zaś odwrócił się i postarał się schować za kolumną.

- Ale proszę pana... - dziewczynka schowała biżuterię w piątce. – To mojej mamy...

- Jesteś katafilem i musisz oduczyć się takiego noszenia kosztowności. Wiesz, ile można za to kupić? Wiesz jak nam pomożesz, jeśli go odsprzedasz cesarzowej? – opiekun górował nad dzieckiem, ściskając jego zamkniętą rączkę. – Za kilka lat i tak nie będziesz mogła go ze sobą zabrać, a teraz każdy pieniądz jest nam potrzebny. Inaczej nie uporamy się z epidemią. Wspólnota musi opłacić posłańców cesarzowej, aby odnaleźć nekromantów. Brakuje nam płótna i nieraz musimy oddawać własne płaszcze na całuny. Rozumiesz, dziecko? Widzisz teraz, kto bardziej potrzebuje tego pierścienia?! – wreszcie nie wytrzymał. Wrzasnął na dziewczynkę, szarpiąc ją za rękę.

- Ale mama kazała mi go trzymać... - mała Rue płakała i próbowała się wyrwać, ale katafil mocno trzymał ją za rękę.

- Już go potrzyzymałaś. Oddaj ten pierścień i może zdążymy dogonić grupę – dziewczynka chciała zaprotestować, lecz katafil ją uprzedził. Otworzył jej piątkę i podniósł pierścień. Bez słowa schował go do kieszeni. – I po strachu. A teraz chodź – porwał małą za łokieć i przedelfilował przez główną ścieżkę.

Pustelnik wyszedł z ukrycia. Odprowadził Rue wzrokiem. W pewnym momencie chciał rzucić się za nimi i wyrwać katafilowi jedyną pamiątkę, którą to biedne dziecko miało po rodzinie. Wiedział jednak, że opiekun miał rację. Epidemia musiała odebrać im naprawdę wszystko, a nawet ziarenko srebra było teraz zbawienne.

Przypomniawszy sobie o swoim zadaniu. Sprawdził, czy jeszcze miał ze sobą odłamek i wrócił do katakumb.

Na dole znalazł zapaloną latarnię. Musiał pozostawić ją tamten opiekun. Powitał go widok siedmioramienną gwiazdy na suficie. Przekraczając dziecięcą bramę czuł się, jakby po latach wrócił do rodzinnego domu, z tą różnicą, że ten jeszcze stał. Skąpane w ciemności korytarze od razu wydały mu się znajome, chociaż od czasu gdy ostatnio je widział minęły niemal dwie dekady. Tą drogą szedł przed laty, ciągnięty za rękę przez Alexa. Potem, gdy się zmęczył, zaczął nieść go na rękach. Pamiętał, jak lekko go kołysał mówiąc że jest już bezpieczny i nie ma się czego bać. Przed oczami stał mu widok jego twarzy widzianej spod przymkniętych powiek. Kasztanowe włosy poprzetykane białymi, agranuckimi pasmami, szafirowe oczy i kołysząca się przy policzku perła, której nikt mu nie zabrał.

Nie było wtedy takiej potrzeby, a Alex lubił naginać zasady. Jeśli coś miał, nie wypuszczał tego za wszelką cenę. Nawet jeśli ta cena była karną audiencją u cesarzowej i wieloletnią służbą w gwardii.

Minął złoty dzwon. Po chwili jednak zatrzymał się i zawrócił. Zapatrzył się w swoje odbicie. Dawniej Alex zadzwonił, aby przywołać swoich braci. Każda osoba, która chciała zostać jednym z członków wspólnoty, musiała sama zadzwonić w dzwon. Alex wtedy podał prawie śpiącemu dziecku sznur, aby wyraziło zgodę na ich pomoc.

Teraz ścisnął go znowu. Pustelnicy często na starość wracali do katakumb i przygotowywali innych do życia z dala od ludzi. Uczyli sieroty wszystkiego: szycia, ziołolecznictwa czy gotowania ze wszystkiego, co znajdzie się pod ręką. Teraz sam czuł się, jakby miał zaraz przygarnąć jakieś dziecko. Mógłby być dla kogoś Alexem, któremu udało się wygrać wyścig z pijakami. Mógłby nie pozwolić, aby ktoś stracił wszystko, co miał z dawnego życia.

Nekromanta uderzył w dzwon. Drganie rozeszło się echem po korytarzach. Nikogo nie było w katakumbach. Na pewno nie na tym poziomie.

Poszedł dalej. Za zakrętem zaczęły się pojawiać krypty. Przy niektórych nawet paliły się świece. Najniższy poziom znowu został podmyty, woda sięgała za kostki mężczyzny. Trzymał się ściany, brodząc w czarnej cieczy. W dali paliło się światło zwiastujące główną aleję.

Kręte korytarze w końcu doprowadziły go do świetlicy. Było to okrągłe pomieszczenie znajdujące się na drugim poziomie katakumb. Skalne półki zajmowały świece, które rzucały cień na mozaikową, siedmioramienną gwiazdę na sklepieniu. Niższe kamienne bloki służyły tu za krzesła.

Dawniej co sobotę zbierali się tu wszyscy mieszkańcy katakumb i wspólnie czytali wszystkie święte księgi z różnych krain. Starszyzna dyskutowała nad nimi do późnej nocy, chcąc wyłapać coś, co łączy je wszystkie. Na sam koniec wyjmowano własną, Trzynastą Księgę. Czuwali nad nią do rana w całkowitej ciszy. Tylko czasami ktoś kaszlnął lub zagrzechotał, sugerując przejście do następnego rozdziału. Te noce miały w sobie niemal magiczną moc. Raz w tygodniu wszystkie religie skupiały się nad jedną księgą, a wtedy można było wyczuć dlaczego katakumby są nazywane wspólnotą tysiąca wierzeń.

Swego czasu na środku świetlicy stał cokół, na którym spoczywała czaszka założyciela katakumb. Po latach zaś odnaleziono resztę kości, a czaszkę zamurowano z nimi w jednej krypcie, zgodnie z życzeniem właściciela.

Jak mawiali niektórzy starsi, stary nie miał głowy do szukania czegoś, więc musieli go wyręczyć. Nekromanta trochę się uśmiechnął. To dopiero znaczy stracić głowę. Dusze w odłamku zachowywały się jakby zasnęły. W końcu czuły się bezpieczne. Mężczyzna usiadł na jednym z głązów. Kryształ stanowiła olbrzymia ilość magii na tyle niebezpiecznej, że puszczona wolno mogłaby spustoszyć całe miasto. Musiał znaleźć kogoś, kto znał się na

zaklęciach i potrafił przelać magię na inny kryształ, wtedy oddzielić od niego dusze, żeby mogły zostać uwolnione. Energia miała ożywić ciało, a dusze... sprowadzić na świat ducha własnym kosztem, aby połączyć się znowu w osobie potwora.

Problem tkwił w tym, że jedyną osobą w mieście, która miała prawo dysponować magią, była cesarzowa. Każdy katafil zaś doniósłby na niego, gdyby zobaczył go z odłamkiem kilka dni po przybyciu.

Pozostało mu tylko czekać, aż Agranuita opustoszeje. Miał jeszcze dwa pełne dni.

- „Do tego czasu na pewno sami nie wyrobiją. Jeśli liczy się każda para rąk...” – przerwało mu uderzenie dzwona. - „Pomogę” – dokończył myśl.

Otworzył księgę. Po chwili do środka wszedł bardzo drobny człowieczek. Niezdarnie zakrył chustą rudo – białe włosy. W płomieniach zamigotała złotawa perła.

A więc to ona. Córka Cavalezza. Nie zdążył jej poznać, nie wiedział nawet, że gwardzista miał dziecko, jednak jej wygląd zdradził ją od razu.

Katafile rzadko miewali dzieci, ale gdy już takie się zdarzyło, zawsze szło w ślady rodziców. Dziewczyna skinęła mu głową na powitanie, ale wycofała się myśląc, że pustelnik się modli. Katafil obrócił w palcach odłamek, nie za bardzo wiedząc, co może z nim zrobić.

Wtem przypomniał sobie pierścień, który na jego oczach został odebrany dziecku. Jeśli było z pieniędzmi tak źle, że w ramach nauki dopuszczano się kradzieży rodzinnych pamiątek, to katafile mogli przeszukiwać krypty...

Nagle nekromanta poderwał się i wybiegł na korytarz. Po omacku odnalazł korytarz, w którym wszystkie skalne półki były wypełnione kocami. Mieszkały tutaj sieroty, a teraz również co bogatsi mieszczenie. Bez problemu znalazł swoją. Wspiął się na palce i namacał małą szczelinę przy obluzowanej cegle. Podważył ją paznokciem. Wyciągnął schowane pod nią pudełko.

Gdy wychodził z katakumb musiał wyrzec się wszystkiego, co dawniej miał. Poprzysiągł sobie, że tutaj wróci i zabierze ze sobą dwie najcenniejsze dla niego rzeczy.

Pierwszą był mały składany nożyk, który dostał od Alexa kilka dni po przyjęciu do społeczności. Wtedy nabrał do niego całkowitego zaufania – w końcu jakaś osoba trzymała broń zdolną zabić człowieka, tylko po to, żeby nauczyć kogoś obierać ziemniaki.

Po latach chłopiec musiał wrócić do domu. Uciekł z katakumb na kilka dobrych dni, żeby zobaczyć ruiny swojego dawnego życia. Gdy wrócił, nikt nie spostrzegł, że przez całą drogę i wszystkie razy trzymał zaciśniętą pięść.

Otworzył mniejszą skrzyneczkę schowaną w pudełku. Pachniała morzem... i domem. Leżał w nim złoty medalion. W nim tkwił nie dotknięty przez czas warkoczyk spleciony z białych włosów ojca i kruczoczarnych pasm matki. Przyniósł go ze sobą, pomimo tego, że ryzykował zaciągnięciem do najcięższej pracy – do budowy katakumb, która jednak została przerwana przez cesarzową po osunięciu się w tunel jakiegoś pustostanu.

Wreszcie pustelnik założył naszyjnik, a gdy ten dotknął jego skóry, nagle mężczyzna poczuł się inaczej. Musiał się położyć. Czuł, jak Agranuita opuszcza jego głowę, a on sam siedzi między rodzicami, tak jak tamtej nocy, gdy sztorm wdzierał się do wioski.

- To tylko zły sen... - zapewniała go matka. – To tylko sen...

Nie mógł powstrzymać łez.

Zaszlochał jak wtedy, gdy burza okazała się nie być snem.

Ostatni wolny dzień. Zero czarnoksiężnika.

Nekromanta usiadł na brzegu. Wokół paliły się stosy. Nie patrzył na nie. Słodkawa woń dymu przestała mu przeszkadzać. Miał przy sobie rodziców. Gdy tylko zamykał oczy, czuł ich chłodne dłonie na ramionach. Agranuita była pusta. Mężczyzna poszedł zwolnić się ze służby na ostatni dzień. Powoli przemierzał pomost wpatrując się we własne odbicie w wodzie. Wtem na coś wpadł. Podniósł się z ziemi. Górował nad nim gwardzista.

- Odłamek – wskazał na woreczek przypięty do pasa nekromanty. – Do zachodu słońca ma go nie być. Czemu to tyle trwa?

- Adres zamóku – rzucił katafil, tym samym tonem, w jakim zwracał się do niego strażnik.

Tamten poprosił o kartkę i wyskrobał na kartce numer domu.

- Do rana masz przyprowadzić lekarza do pałacu – syknął, odchodząc. Nagle odwrócił się. Przyparł katafila do bramy. – Rozumiesz barbarzyńco, czy mam ci to tłumaczyć batem?

- Tak jest. Rozumiem – odpowiedział. Poprawił torbę i zanurkował pod jego ramię. Postarał się nie zwracać uwagi na to, że gwardzista splota mu pod nogi.

Miał niewiele czasu. Dusze w odłamku znowu się niepokoiły. Woreczek pulsował ciepłem, gdy nekromanta przemierzał kolejne ulice. Musiał znaleźć dobre miejsce do wypuszczenia dusz. Skoro wiedział, że mandolinarz został pochowany w katakumbach, to jego miejsce było pośród jemu podobnych, spitych żebraków.

Mijał kolejne mroczne korytarze, co chwilę odwracając się i licząc odnogi. Wreszcie znalazł się pod świetlicą. Małe pomieszczenie łączyło ze sobą kilka korytarzy prowadzących do olbrzymich komnat, w których leżały zrzucone na stos kości.

Tak właśnie kończyli ci, o których świat zapomniał. Katafil podciągnął płaszcz i zanurzył się w wodzie do kolan. Wiedział, w której komnacie spoczywał mandolinarz. Jednak z każdym krokiem w stronę tunelu odłamek stawał się coraz cięższy. Przed samym wejściem przyspilił go do podłogi. Ujął go w ręce i oderwał woreczek od pasa. Kula zaś wyrwała mu się z objęć. Zniknęła w wodzie. Błyszczała wieloma kolorami, aż zginęła w naprzeciwległym tunelu. Nekromanta puścił się za nią, po drodze potykając się o płaszcz. Małe światełko mknęło po posadzce, nie zważając na jego niezdarne gramolenie się na nogi.

Nagle odłamek zatrzymał się w połowie korytarza. Biło krociem kolorów, jakby chciało zwrócić na siebie uwagę. Pustelnik podniósł kryształ, który ciągnął go w stronę najwyższej półki, gdzie mieli zwyczaj leżeć ci, którzy byli zakałami bogatych rodów Agranuity. Postawił na niej lampę, po czym dołączył do niej kryształ, a sam po chwili wspiął się na jej wysokość.

W kącie krypty siedziało dziecko. Mała dziewczynka o czarnych oczach i popielatych włosach patrzyła na niego z przerażeniem. Jej chude ręce znaczyły blizny po przebitych pęcherzach.

Nagle katafil poczuł jej strach, tak charakterystyczny dla wszystkiego, co żyje. Jej czarne oczy stały się niezwykle podobne do ślepków tamtego ptaka ze złamanym skrzydłem. Poczut mrowienie w palcach – mógł jeszcze pomóc.

I miał odłamek, który też chciał pomóc.

- Chodź dziecko, pomogę ci... - szepnął. Kryształ zamigotał, jakby przekazywał, że ma kontynuować. – Jak masz na imię?

- Lea – nieśmiało się przedstawiła.

- Podejdź do mnie, Lea, zajmę się tobą. Wiem, że się boisz, ale jesteś już w dobrych rękach. Wyzdrowiejesz... Tylko musisz do mnie podejść.

Dziewczynka przesunęła się tylko o krok.

- A co z mamą?

- Twoja mama... czeka na ciebie – przełknął ślinę. – Zanim ją spotkasz, będę się tobą opiekował. Chodź, kochanie...

Lea wtuliła się w niego zanosząc się kaszlem. Jej ciało drgało od gorączki. Dałby jej maksymalnie kilka godzin. Nekromanta usiadł w wodzie.

Ta dziewczynka... Była sama i wystraszona, zupełnie jak dawniej on. Otarł jej twarz ręką płaszcza. Jedną rękę położył na jej czole, a w drugą ujął kryształ. Po chwili odłamek zaczął błędzić. Dusze rwały się jej na pomoc.

Kolorowa mgiełka otoczyła Leę. Nagle stała się biała, wirowała wokół niej jak tornado. Katafil zamknął oczy. Poczuł, jak opada na ziemię.

Obudził się w świetlicy. Mała Lea spała owinięta w koc, a on sam miał na sobie nowy płaszcz. Na dziewczynce nie było śladu po chorobie.

Odłamek zniknął. Katafil powoli skierował się do wyjścia, kołysząc w ramionach dziecko.

Nikt nie zauważył jego nieobecności, nawet gwardzista czatujący przy drugim wyjściu, stary człowiek wyglądający na marynarza, nie sięgnął ręką po miecz, gdy go zobaczył. Odprowadził go wzrokiem, jakby żegnał syna, który nie wróci po wojnie. W rękach strażnika spoczywał złoty medalik, który miał sprzedać. Za te pieniądze mógł uratować kryjącą się przed chorobą żonę i wyjechać jak najdalej stąd.

Katafil zaś opierał się na lasce i powoli czołgał się po stromiźnie. Lea spała. Dopiero teraz dojrzał złoty kolczyk z perłą, który jak broszka spinał jej chustę. Alex był dobrym człowiekiem. Gdyby tylko znał imię jego córki, może po wszystkim mógłby wrócić i jej podziękować. Jednak znał Cavalezzów – im nigdy nie wolno było dziękować za to, co człowiekowi należy się z racji bycia. Na ziemi czy pod ziemią.

Nekromanta zawsze chciał dać jakiejś sierocie dom. Nie dać jej zgnić w ciemności i zapomnieniu, żeby jedyną jej matką stała się śmierć w czarnym welonie.

Czy tak samo czuł się jego ojciec, gdy nosił go po raz pierwszy po domu?

Świat wydał się nagle trochę pogodniejszy, chociaż nad miastem rozciągały się ołowiane chmury, a niemal cała jego ludność zginęła.

Stał nad krawędzią klifu. Skowyt wiatru zagłuszył jego myśli.

Poczuł, jak dziewczynka porusza się w jego ramionach, powoli wybudzając się ze snu.

- Śpij szpaczku, wracamy do domu – wyszeptał w jej zakurzone włosy.